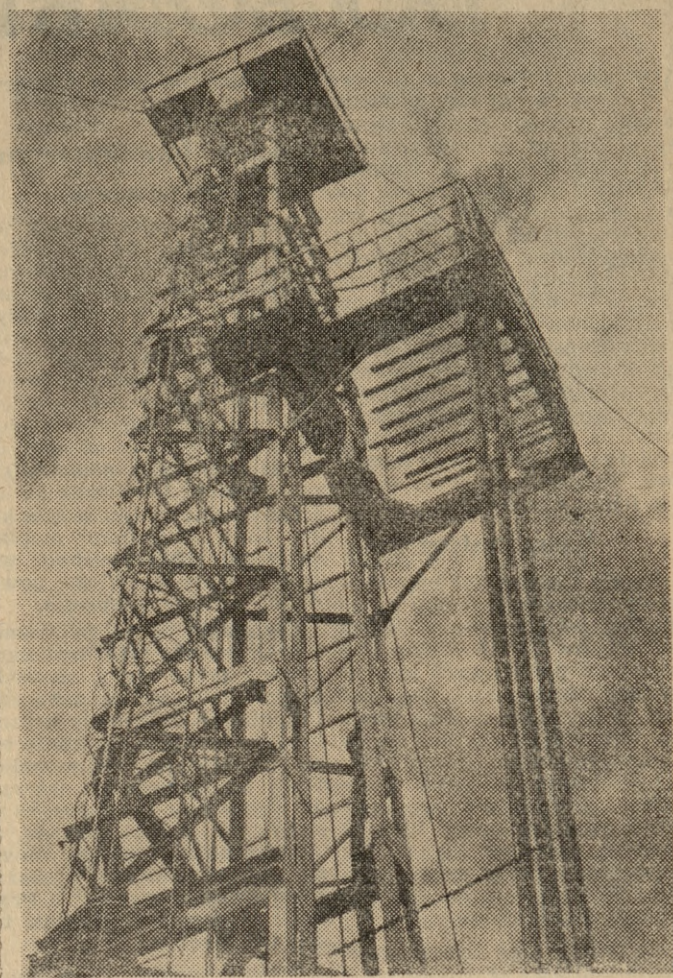


O takich eksponatach nikt na PEWUCE nawet nie marzył — ludziom nie wydawało się możliwe, że moglibyśmy w ogóle produkować kompletne urządzenia wiertnicze dla przemysłu naftowego. Dziś na XXIV MTP wystawiamy wieżę-szyb naftowy z przeznaczeniem na eksport.

## DUMA NASZEGO PRZEMYSŁU



Fot.: K. Przychodzki

## Karuzela „PEWUKI” i konkrety dzisiejszych MTP

Miałem siedem lat, gdy rodzice zabrali mnie na PEWUKI. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Piszczalem z radości. Strasznie dumny siadałem na bocznych ławeczkach małych autobusów elektrycznych o napędzie akumulatorem. Obsługiwali je niezamożni akademicy. Czerwone pojazdy cicho bucząc jeździły po asfaltowych alejkach rozległych terenów wystawowych, przemierzanych z parkami. Najbardziej pełne pasażerów były te, które zdążyły w kierunku „wesołego miasteczka”. Rzeczywiście, było tam w miasteczku wystawy bardzo wesołe. Wchodziło się do wielkiej „budy jarmarcznej, by śmiać się do rozpuku, jak na walcach powleczonej miękką tkaniną „Wodospadu Niagary” — wypadają podkaszane dziewczęta, ukazując coś więcej niż kolana. Można się było przejechać na zmotoryzowanym osie, przeżyć emocje jazdy „kolejka górską”, lub z wysokości dwudziestometrowej konstrukcji stalowej wjechać łódką na szynach — do basenu z wodą, która wspaniale rozpryskiwała się na boki, strasząc stojących gapiów.

Zawierzałem pamięci dziecięcej i dlatego dla mnie PEWUKA była przez długi czas jakąś gigantyczną rozmiarów karuzelą, placem zabaw i przygodą (zguściłem się wśród pawilonów, grając w chowanego z rówieśnikami). Poza tym wiedziałem z rozmów między pokoleniem moich rodziców, że Powszechna Wystawa Krajowa była dowodem „mocarstwowości Polski Odrodzonej” i popięciem organizacyjnym „ojców stoł. miasta Poznania”. Wspomnienie popuła dopiero wiza, jaką po kilku latach złożyłem pawilonom „wesołego miasteczka” w towarzystwie dalekiej ciotki, aktywistki miłosierdzia św. Wincentego à Paulo.

Było lato, a w wielkich halach, gdzie goście PEWUKI niegdys wesoło się bawili — koczowały rodziny bezdomnych. „Mieszkania” przepierzono kawałkami tektury, blachy, dykt i starych desek. Wszędzie panował straszny zaduch, gorąco zapierające oddech. Słońce świeciło z bezchmurnego nieba wprost na goły, blaszany dach b. hali wystawowej. Przyjaciółka ciotki opowiadała, że proboszcz jednej z parafii łazarskich przestrzegł dzieci szkolne, by nie odwiedzały dawnego „wesołego miasteczka”; gnieźdzą się tam bowiem wszystkie grzechy „Babilonu, Sodomy i Gomory”.

Miałem wtedy lat czternaście. Przeczuwałem, że w potępieniu moralności mieszkańców „wesołego miasteczka” (ta sztydereza nazwa przylgnęła do koczowiska) — tkwi jakiś gruby fałsz. Widziałem już niedzę bezrobocia, a tacy właśnie — pozbawieni pracy — korzystali z „dobrodrożstwa zarządu miejskiego”, który dla wyeksmitowanych postarał się o dach nad głową. Być może wśród bezdomnych znajdowali się budowniczy „PEWUKI”. Na pewno. Dowodzą tego cyfry statystyczne. W czasie trwania prac przygotowawczych i samej wystawy bezrobocie w Poznaniu było najniższe w całym międzywojennym dwudziestolecu. Sięgało tylko 800 osób. Parę miesięcy po zakończeniu wystawy cyfra ta skoczyła na 5757 osób (styczeń 1930) i 7100 (marzec). W dwa lata później siedemnaście procent dorosłej ludności Poznania (15 000!) pozabawionych było pracy i zarejestrowanych na „bezrobociu”.

Po wielu latach, gdy zagłębiłem się w grube foliary dokumentów i ciężkie księgi protokołów rady miejskiej stoł. miasta Poznania, w niekończące się skargi bezdomnych i lokatorów kamienic magistrackich, w akta dochodzeń niekończących się „interesów wystawowych” i historii kilku źródeł, z których płynęły pieniądze na inwestycje koniecz-

ne dla „reprezentacyjnego charakteru PEWUKI” — zrozumiałem, czym ona była. Roczni statystyczne uzupełniły brakujące ogniwa.

To pewnie — tamta „wystawa dziesięciolecia” nie była piękną manifestacją „mocarstwowości gospodarczej”, lecz realizacją dewizy „zastaw się — a postaw się”. Odbity się po tym w okresie, gdy w 1929 roku kryzys w wielkich państwach kapitalistycznych hulał już na dobre... Nie przyniosła żadnych konkretnych korzyści, poza kilku udanymi... aferami, z którymi kłopoty mieli prokuratorowie lub moi protektorzy tuszujący winy swoich pupilów. Społeczeństwo poza radością z barwnej „karuzeli” mogło zanotować kilkadziesiąt nadprogramowych „plajt” — i skutkiem tego szybszy wzrost bezrobocia. Cyfry statystyków były bezlitosne. Mówiły one, że miasto ściągnęło na swoją głowę ogromne wierzycielności zagraniczne. Konkretnie: — w „British Overseas Bank Ltd. London” i „Schweizerische Bankgesellschaft” w Zurichu. Te dwa zagraniczne przedsiębiorstwa, dając pieniądze na nadprogramowe inwestycje „wystawowe”, zastrzegły sobie w umowie prawo wglądu i kontroli gospodarki zarządu miejskiego.

Podobno Poznań gospodarzył się najlepiej ze wszystkich miast w Polsce przedwojennej. Ano, widocznie gdzie indziej było jeszcze gorzej. Skoroszyty dokumentów i protokołów posiedzeń rady miejskiej beznamiętnie opowiadają, że długi rosły z roku na rok — tak za czasów endeckich rządów w Poznaniu, jak i za kilkuletniej „komisarycznej” kadencji sanacyjnego prezydenta miasta.

Roczniki statystyczne dowodzą poza tym, że „mocarstwo” gospodarcze „międzywojennej Polski” wyglądała dość żałośnie. Wbrew pułkownikowskiemu zapewnieniu o „krzepie”, nie udało się sanacyjnym rządcom podciągnąć produkcji przemysłowej do poziomu z roku 1913. Cóż więc można było wystawić na PEWUCE? Pokazywano miniaturę gazownię i elektrownię, które mi się strasznie podobają; szczególnie małe latarnie uliczne pływające wokół niej. Jeszcze piękniejsza była inna zabawa — wystawowa — dworzec kolejowy z dwudziestocentymetrowymi wagonami i lokomotywami, które na przestrzeni równej czterem sporym pokojom jeździły po miniaturowych szynach, infantylnych mostach, dworcach i zwrotnicach. Rodzice nie mogli mnie wyciągnąć z sali PKP.

Pamiętam także doskonale założoną z okazji PEWUKI Palmiarnię z wielkim okazem wodnej rośliny egzotycznej — Victoria Regia, błyszczące nienaturalną świeżością lokomotywy, o których ojciec z dumą mówił, że „sprzedajemy do Afryki”, wagony restauracyjne „Mitropa”. W jednym z nich, ustawionym na placu wystawowym jedliśmy lody.

Tu urywa się wspomnienie.

Mój synek Jacuś ma akurat tyle lat, ile ja w czasie PEWUKI. Zabiorę go oczywiście na tegoroczne Międzynarodowe Targi Poznańskie, odbywające się — w dziesięciolecie tym razem — na zajął Polski. Ciekawym, co on zapamięta; co będzie mógł, jak ja jemu — po dwudziestu sześciu latach — opowiedzieć.

Zadzierając głowę do góry chłopak zdziwi się wysokości smukłych żurawi budowlanych, przemyślnych dźwigów i kranów przemysłowych do przenoszenia na podniebnych wysokościach rudy lub węgla. Już interesował się, gdy ciemnym wieczorem przejeżdżaliśmy obok terenów targowych:

— Tatusiu, a czemu tam w górze palą się czerwone lampki, jak na choince noworocznej?

W nocy nie widać stalowych ramion dźwigów — a światła ostrzegają pilotów, by nie wpadli na szczyty polskich maszyn budowlanych. Takie są wysoki. Na pewno synek otworzy oczy ze zdumienia, gdy zauważy na ziemi, u podnóża olbrzymów — szturmówkę krępych, przysadzistych dźwigów samobieżnych. Każdy inny — z jednym wspólnym mianownikiem: ręką polskiego robotnika, która nowoczesne urządzenia stworzyła. Zapamięta także Jacuś maszyny-kolony w pawilonie ciężkiego przemysłu; młoty i prasy do tłoczenia blachy o sile nacisku sięgającej kilkunastu ton. Zdumieją go leżące na ziemi gigantyczne śruby do okrętów wypuszczanych z polskich stocni...

Zwiedzający najczęściej nie będą — być może — znali przeznaczenia większości maszyn — ich konkretnego zastosowania; znają jednak ich przeznaczenie ekonomiczne. Wszystko, co Polska wystawia na XXIV MTP — przeznaczone jest do sprzedaży — dla zagranicznych nabywców. Są to bowiem targi „międzynarodowe”. Pokazujemy tylko takie rzeczy, które mogą być lub już są przedmiotem eksportu. To właśnie najbardziej raduje serce. Widzimy cyfry i suche procenty wykonywanego planu — przetłumaczone na język konkretnych, język rzeczy sprawdzalnych, w pewnych wypadkach nawet „dotykalnych”.

Obok pawilonu reprezentacyjnego, który ozdobiony jest ażurową, strzelistą konstrukcją, ustawiono „zabawkę” — jak na PEWUCE. Ale zupełnie niepodobną! Jest to miniaturowa chłodnia, nawiasem mówiąc już zamówiona dla jednego z warszawskich przedsiębiorstw gastronomicznych. Jej ogrodenie będzie przez cały czas trwania MTP... oszronione, mimo największych upałów. Nie wystawiamy jednak tej chłodni dla rozveselenia gawieździ — czy, jak to było na PEWUCE, odwrócenia uwagi od rzeczywistości — ale dla zainteresowania zagranicznych przedstawicieli handlowych — dla zwrócenia uwagi na naszą rzeczywistość. Fachowcy mogą bowiem zobaczyć w bezpośrednim sąsiedztwie element wielkiego, fabrycznego urządzenia chłodniczego — takiego „na serio”. Obok: wspaniałe precyzyjne maszyny papiernicze, niektóre urządzenia cukrowni według modelu, który już eksportowaliśmy do Chin. Mamy dalsze zamówienia — maszyny, do produkcji papieru powędrują do Turcji i Indii.

Oczywiście — Polska wystawia tradycyjne parowozy i tabor kolejowy — jak przed dwudziestu sześciu laty, lecz nie jest on jedynym rzeczywistym wartościowym przedmiotem pol-

skiego eksportu. W czwórna-sób zwiększyliśmy nie tylko masę produkcji, lecz i jej asortyment; ten ostatni chyba więcej niż o 400% w stosunku do 1938 roku. Stał się równocześnie partnerem takich państw jak Francja — prześcignęliśmy Włochy i Belgię.

A przed wojną — przypomnijmy sobie — kapitaliści tych krajów posiadali spore, ważące coś na szali, portfele akcji polskich fabryk, kopalń, banków i towarzystw ubezpieczeniowych. Zastrzykiwali dewizy w chwałę gospodarke, która przez dwadzieścia lat dreptała w miejscu nie mogąc osiągnąć produkcji z 1913 roku. Oczywiście „lecznicze” własności obcych iniekcji pogłębiały chorobę! Zagranicznym kapitalistom opłacało się wywozić pieniądze do Polski, gdyż tam, w rolniczym „hinterlandzie” otrzymywali największą stopę zysku. Siła robocza była bardzo

(Dokończenie na str. 2)

## Promienie życia z pękających atomów

(KORESPONDENCJA WŁASNA API)

Swierdłowski, w czerwcu rozmawiając z pracownikami padają raz po raz słowa: „armata”... „bomba”. W normalnym znaczeniu wiążemy te wyrażenia z ogromem cierpień, ze śmiercią. Tu jednak łączą się one z humanitarnymi celami przedłużenia życia — z walką o zdrowie człowieka.

Jesteśmy w ośrodku onkologicznym w Swierdłowsku. Naczelną lekarz, Faina Michajłowna Tieplouchowa i kierownik naukowy ośrodka, dr Anna Nikolajewna Lebiediewa, opowiadają, jak energia atomowa i substancje promieniotwórcze wykorzystywane są w praktyce lekarskiej.

### „Gut-so-20”

Prosimy o bardziej szczegółowy opis stosowania w leczeniu któregoś z izotopów promieniotwórczych.

Nasz ośrodek już od 1950 r. stosuje promieniotwórczy kobalt, który najszerszej używany jest przy leczeniu nowotworów złośliwych. Podobnie jak rad działa on niszcząco na tkankę nowotworu, a przy tym jest o wiele korzystniejszy: jest tańszy, łatwiejszy w użyciu i nie wymaga przy stosowaniu drogiej filtracji ze złota i platyny — zastępuje je stal. Instytut naukowo-badawczy oraz zakłady lecznicze współpracowały już kilkanaście różnych sposobów stosowania radioterapii. Stosuje się ją przy pomocy specjalnych aparatów,

produkowanych przez radziecką przemyśl.

Oto urządzenie „Gut-so-20”. Wchodzimy do pokoju, pośród którego umieszczony jest aparat, sięgający aż do sufitu. Ma on kilka kół sterowniczych i krótką, zagiętą rurę w kształcie trąby. Tu również stoi kozetka, na której kładzie się chorego. Dr. Tieplouchowa dotyka lekko jednego z kół sterowniczych i rura kieruje się tam, gdzie ma być zastosowana energia promienista.

Oto jest właśnie nasza „armata” — objaśnia Faina Michajłowna — „bomba”, zaś nazywamy ten oto ołowiany, ścięty stożek z umieszczonym, zalutowanym wewnątrz izotopem radioaktywnym, w tym wypadku — kobaltem. Umieszczamy go się w rurze aparatu. Aparat wykonany jest głównie z ołowiu: chroni to otoczenie od oddziaływania energii promieniotwórczej.

### „Semafor” leczniczego ładunku

W sąsiednim pokoju, oddzielnym od aparatu betonową ścianą, znajduje się miejsce, skąd kieruje się całym urządzeniem. Na tarczy widzimy dwa wyłączniki, kilka lamp sygnałowych. Właśnie świeciła się lampka ciemnozielona. Znaczy to, że „bomba” jest zamknięta. Zapala się światło żółte — „bomba” ruszyła z miejsca. Lampy sygnalizacyjne dają możliwość natychmiastowego zorientowania się gdzie znajduje się „bomba”. Personel obsługujący urządzenie nie obserwuje przebiegu naświetlania chorego przez specjalne okno z szybą z ołowio-wego szkła.

Naświetlanie przy pomocy naszej „armaty” — wyjaśnia A. Lebiediewa — stosuje się przy leczeniu raka jamy ustnej i krtań, przy przerzutach na gruczoły limfatyczne szyi, miejsca pachowe i pachwinowe, przy nowotworach na czyniowych i innych. Obecnie leczymy z dobrymi wynikami wiele takich przypadków, które dawniej nie poddawały się działaniu naświetlania. Dotyczy to przede wszystkim przerzutów.

Lekarze ośrodka opowiadają o przebiegu leczenia róż-

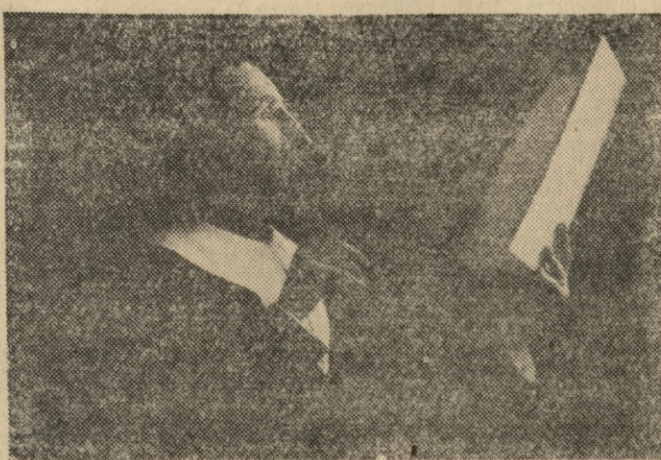
nych pacjentów, pokazują listy pełne słów wdzięczności. Oto np. list od górnika — mieszkańca Krasnoturłińska. Miał on raka krtań. Nie chciał się poddać operacji, chociaż wielokrotnie go do tego namawiano. Po przybyciu do swierdłowskiego ośrodka poddano go leczeniu przy pomocy promieniotwórczego kobaltu. Dziś straszna choroba minęła bez śladu — pacjent wrócił do pracy, do normalnego życia. W pewnych wypadkach leczenie przy pomocy promieniotwórczych izotopów uchroniło chorych od operacji, w innych — jak np. w wypadku kolchoźnika zamieszkałego w rejonie zająkowskim — pozwoliło „doblić” tkanki nowotworów, których chirurdzy nie byli w stanie całkowicie usunąć.

### Nowe perspektywy medycyny

Oczywiście nowa metoda leczenia poważnie rozszerzyła możliwości walki o zdrowie człowieka — ciągnie dalej A. Lebiediewa — jednak nie wszystkie jeszcze formy nowotworów złośliwych udaje się w ten sposób leczyć. Przed medycyną otwiera się wielkie pole do popisu, coraz doskonalsze są metody działania elementów radioaktywnych na organizm człowieka. Dotychczasowe wyniki, obiecują jak naj lepsze nadzieje na przyszłość.

Naświetlanie nie stanowi jedynego sposobu posługiwania się promieniotwórczym kobaltem — dodają kierownicy ośrodka. — Mamy również preparaty dla leczenia miejscowego. W naszym ośrodku stosujemy również wewnątrztkankową metodę radioterapii. Leczymy w ten sposób raka języka, śluzówki ust, a w ciągu ostatniego roku — i raka piersi. Dawniej w takich wypadkach nie udawało się uniknąć operacji. Stosuje się także metodę leczenia, tzw. aplikacyjną i inne. Ostatnio w ośrodku coraz szerzej stosowane są metody kombinowane: naświetlanie „armatą” łącznie z rentgenoterapią lub też naświetlanie po operacji chirurgicznej. Metody te polepszają wyniki leczenia.

N. KONDRATOW



Na zdjęciu: Karol Urbanowicz jako don Basilio w „Cy-ruliku sewilskim”. (Czytaj artykuł na stronie trzeciej pod tytułem: „Z powodu... ślepiej kiszki”).

# OD KUL DUM — DUM DO BOMBY ATOMOWEJ (II)

Dr Józef Giebułtowicz

Początek ankiety „Nowego Świata”

W roku 1827 niemiecki teoretyk wojny Karl von Clausewitz napisał (opublikowane w r. 1833 już po śmierci autora) wielkie dzieło „O wojnie”. W dziele tym twierdził, że konieczność wojenna góruje ponad wszystkim, że słuszny jest każdy środek, który prowadzi do pokonania przeciwnika. Teoria Clausewita służyła imperializmowi. Wystarczy przypomnieć ostatnią wojnę, w czasie której hasło „wojny totalnej”, bezwzględnej niszczenia wszystkiego, co stało napastnikowi na drodze, było oficjalną polityką hitlerowskiego faszystu. Wiernie wcielił on w życie nauki Clausewita.

## Krok wstecz

Teoria Clausewita była krokiem wstecz w stosunku do poglądów, jakie rozwijały się już od schyłku XVIII wieku. Pod wpływem postępowych idei rewolucji francuskiej ludzkość dążyła już wówczas świadomie do ograniczenia zakresu wojny i maksymalnego złagodzenia jej niszczących skutków. Szczególnie okrucieństwa wojenne, dotyczące żołnierzy i ludność cywilną, spotykały się z powszechnym potępieniem, jako niezgodne z elementarnymi pojęciami humanitaryzmu.

Na załaski tego sposobu myślenia trafiamy w najdawniejszym okresie historycznym. Już w czasach starożytnych istniały pewne, wówczas religijne reguły postępowania. Były one szczupłe i nie broniły nawet pokonanego przed zamienieniem go w dożywotnie niewolnika. Już wtedy zjawiała się zasada nietykalności posłów, która przetrwała aż do naszych czasów. Również w średniowieczu niewiele było reguł, ograniczających wojnę. Zasady rycerskiego postępowania, nakazujące szanować stan rycerski przeciwnika, nie broniły mieszczan i chłopów, a w każdym razie nie miały zastosowania przeciw „niewiernym” czy poganom. Kościelny postulat litości, pozostawiony sumieniu jednostki, nie znajdował budującego przykładu w postępowaniu samego Kościoła.

A jednak powoli narastały przekonania o konieczności zmian. Były one wynikiem nowych warunków ekonomicznych i społecznych. Fala odruchów przeciw okropnościom wojny była już tak silna w XIX wieku, że nie wstrzymała

jej reakcyjna teoria Clausewita.

## Zasady humanitaryzmu zwyciężają

Ranni w walce i jeńcy wojenni znaleźli się pod opieką uzgodnionych reguł międzynarodowych od czasu powstania instytucji Czerwonego Krzyża w r. 1864. Nowe środki walki potrafiły już wówczas zadać straszne rany. Do nich należały kule ekspansywne, z którymi wiązała się nazwa „dum dum”. Pochodziła od miejscowości w Indiach, gdzie Anglicy wyrabiali takie kule do kolonizatorskiej walki w tym kraju. Kule „dum-dum” rozpląsały się lub wybuchły wewnątrz ciała ludzkiego, powodując okrutne cierpienia.

Oburzenie opinii publicznej, której głos nie mógł być zignorowany przez rządy, sprawiło, że pociski te zostały zakazane. Uczyniła to deklaracja petersburska, przyjęta na konferencji w r. 1868, odbytej w stolicy Rosji na zaproszenie jej rządu. Deklaracja petersburska ustaliła też ogólną zasadę, że „konieczności wojenne muszą się podporządkować wymaganiom humanitaryzmu”. Przeczyło to zupełnie wyrażnie teorii Clausewita.

Wielkie znaczenie deklaracji petersburskiej polega na tym, że była ona pierwszą międzynarodową umową, która ograniczyła zasady wojny. W miarę pojawiania się nowych środków walki opinia publiczna żądała nowych zakazów.

## Reguły haskie

Na dwu konferencjach, które odbyły się w Hadze w latach 1899 i 1907, sprawa złagodzenia skutków wojny posunęła się znacznie naprzód. Zawarto wówczas specjalną konwencję, obowiązującą dziś pod nazwą

IV konwencji haskiej, o prawach i zwyczajach wojny lądowej. Opracowano też niektóre reguły wojny morskiej; nadto ustanowiono zakaz używania gazów trujących i rzucania materiałów wybuchowych „z balonów powietrznych i innymi analogicznymi środkami”.

IV konwencja haska reguluje sposoby walki frontowej, definiuje pojęcie stron walczących, nadto przewiduje środki ochrony ludności cywilnej. Ponieważ jednak nie mogła przewidzieć, jakie nowe sposoby akcji zbrojnej wejdą w użycie w związku z rozwojem techniki, zawiera też bardzo ważną wskazówkę ogólną. Ta wskazówka nakazuje stosowanie ustalonych powszechnie zasad humanitarnych i sumienia do każdej walki zbrojnej. Jak widzimy, teorii Clausewita znów zaprzeczono. W czasie pierwszej wojny światowej znaleźli się jednak wyznawcy jego teorii: militarysty niemiecki stał się winny zastosowania gazów trujących na frontach.

## Potęga opinii publicznej

Już wymienione dotychczas akty międzynarodowe dawały wyraz temu, że postanowienia ich wypływają z wymagań zasad humanitarnych. Oznaczało to, że poglądy społeczeństw mogą odgrywać decydującą rolę. Znaczenie opinii publicznej znalazło potwierdzenie w brzmieniu konwencji genewskiej z r. 1925, która poprzedni zakaz używania gazów trujących rozszerzyła na całość wojny chemicznej i bakteriologicznej. Konieczność tego kroku uzasadnia tekst konwencji tym — „że powszechna opinia świata cywilizowanego słusznie potępia używanie podczas wojny gazów trujących...”

Rządy państw kapitalistycznych

w sprzyjających dla siebie okolicznościach starały się jednak ignorować dalsze żądania opinii publicznej. Związek Radziecki, licząc się z żądaniami szerokiego mas ludności całego świata, proponował w latach 1930-tych wprowadzenie zakazu najbardziej morderczych rodzajów broni. Odrzucając te propozycje na konferencji rozbrojeniowej w Genewie, państwa kapitalistyczne wykorzystały fakt, że rząd radziecki był wówczas jeszcze jedynym rządem ludowym, kierującym się interesami mas ludowych całego świata.

Nowe i postępowe zasady humanitarne w zakresie prowadzenia wojny zwyciężają jednak w wyniku masowej walki. Walka ta nie była jeszcze wygrana przed drugą wojną światową, w czasie której świat poznał, co znaczy depta nie obowiązujących zasad wojny przez faszystowski militarysty. Clausewitz znów znalazł wiernych, hitlerowskich uczniów.

Lecz zbrodnie hitlerowskie spotkały się z represją prawną Trybunału Międzynarodowego w Norymberdze. Potwierdziło to, że wysiłki ludzkości nie poszły na marne, że stworzyły prawo, zakazujące i karzące.

## Nowa broń i nowa walka

Bomba nad Hiroszimą obwieściła istnienie nowej broni masowej zagłady, broni agresywnej wojny. Walkę przeciw niej, a za użyciem energii atomowej dla celów pokojowych ludzkość podjęła od pierwszej chwili. Jest to walka, do której ludzkość jest uprawniona i powołana, gdyż prawo, mające wprowadzić zakaz stosowania broni atomowej, jest prawem, które tworzy właśnie ludzkość. Rzut oka na mechanizm powstawania prawa międzynarodowego potwierdza, że to nasza własna wola wpływa na tworzenie prawa międzynarodowego.

## KARUZELA „PEWUKI” ...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tania. Kosztą wzbogacania się zagranicznych „inwestorów” ponosili ci z „wesołych miasteczek”. Do diabła z taką „wesołością”! Skończyliśmy z nią. Na miejsce dawnego siedliska bezdomnych zbudowano w Poznaniu piękne, nowoczesne osiedle mieszkaniowe przy ulicy Chociszewskiego.

To także jest poglądowa wystawa, coraz bardziej dziś w Polsce powszechna.

Jeśli dzisiaj przyjmujemy zagranicznych wystawców, przedstawicieli firm eksportowo-importowych — mamy do nich, a oni do nas inny stosunek: równego z równym. Za chytymi klauzulami umów nie mogą się kryć warunki podobne tym, które musiał przyjąć zarząd miejski Poznania od „British Overseas Bank Ltd. London” i „Schweizerische Bankgesellschaft”. Żaden zagraniczny przedstawiciel nie odważyłby się takich proponować. Zna bowiem siłę gospodarczą dzisiejszej Polski, jej samodzielność, sprawność, nieustanny rozwój; wie, że jesteśmy partnerem solidnym — lecz i wymagającym. Gdy o tym myślę — przypominam sobie pawilon radziecki. W roku 1950 nasi wschodni przyjaciele wystawili wiele doskonałych obrabiarek, ciężkich maszyn i dźwigów. Marzyłem wówczas w jednym z artykułów „targowych”, że może za kilka lat i nasz kraj będzie mógł wystawiać na eksport takie produkty. Dziś stało się to faktem. Zmodernizowaliśmy dzięki pomocy Związku Radzieckiego nasze fabryki i mogliśmy zdobyć rzeczywiście awans przemysłowy, którym jest wykonanie planu sześcioletniego. Tę prawdę zrozumie półtora miliona ludzi, którzy — jak zaplanowano — zwiedzą XXIV MTP. Wyniosą oni przekonanie, że Polska Ludowa dobrze służy sprawie pokoju: tworzy siłę liczącą się na świecie — zdolną nie tylko do zaspokojenia własnych potrzeb przemysłowych — lecz także niesienia pomocy dla narodów dziś jeszcze industrialnie zacofanych. Będzie to z pewnością półtora miliona nowych agitatorów naszego Jutra.

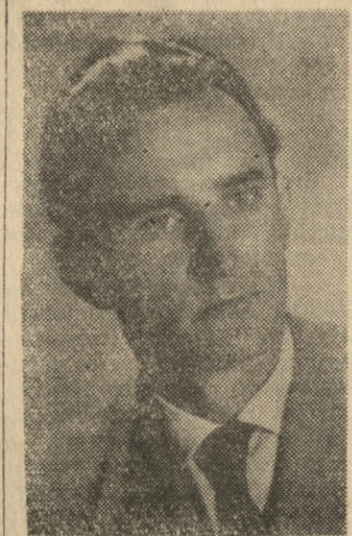
...a w czasie PEWUKI my byliśmy takim narodem. Urza-

dzono nam, dla „pokrępienia serek”, wystawową karuzelę, lecz po niej zostało tylko wspomnienie.

JANUSZ LIKOWSKI

## Sensacyjność bardzo pożyteczna

Wł. Odojewski



Powieść Guzgo \*) rozgrywa się współcześnie. Miejsce akcji jest Warszawa, czas akcji — zaledwie doba, zaczyna się bowiem po południu jednego dnia, kończy wieczorem drugiego dnia. Co w tak niewiele godzinach można pokazać? Okazuje się, że dość dużo. A więc jeśli chodzi o fabułę to: kradzież ważnych rysunków z pracowni konstruktorskiej pracującej dla resortu obrony narodowej, szalke zdrajców działających na rzecz obcego wywiadu, sprzedawcy, którzy rządzą się surowym prawem przysądności lub nieprzysądności do zdrady i ludzi bezpieczeństwa czuwających na każdym zagrożonym odcinku naszego życia w kraju. Problemowo — Guzy zajmuje się przede wszystkim opłakaną w obecnej walce zdrajcami ludźmi, niezadowolonymi, małocontentnymi, ludźmi o małym sumieniu, sumieniu, choć są w jego powieści i postaci nieco inne: np. Wrona — zdecydowany wróg, albo Broniek Pawlikowski — wcielający przypadkowo do siatki szpiegowskiej szamocący się między zdra-

dą a uczciwością, i wybierający w końcu drugą drogę. I jeszcze jeden wybijający się problem — zagadnienie strachu przed odpowiedzialnością karną, odpowiedzialnością wobec narodu: strachu przed zwierzęcymi prawami, którymi rządzi się szalka, gdzie człowiek, który wypełnił swoje zadanie, wysłużył się jako zdrajca, powinien zostać zlikwidowany, aby nie mógł stanowić zagrożenia dla jej dalszej działalności; wreszcie strachu przed samym sobą, przed własnym odzyskaniem sumienia.

O ile proza Guzgo sprostała powierzonej jej problematyce? — oto pytanie nurtujące krytyka. Przynać trzeba, że najmocniejszą jej stroną jest akcja, nerwowa, wartka, dość zresztą wkląśająca i wyprowadzająca wątki. Właśnie akcja jest tutaj nośnikiem problemów, szkieletem, niejednokrotnie, nie wygranych do końca — to fakt. Guzy jednak nie miał prawdopodobnie wygórowanej ambicji tworzenia z „Następnego odchodzi 22.25” — powieści problemowej. Akcja wreszcie markuje skrótowość postaci, jak i niekiedy znaczne uproszczenia psychologii bohaterów; akcja zastępuje wreszcie komentarz autorski. Swe postacie powieściowo Guzy przeprowadza od wypadku do wypadku w tempie błyskawicznym nieomal, nie dając im przeważnie czasu na dające refleksję. Wyjątkiem jest Broniek Pawlikowski, toczący rozmowę obrachunkową z własnym sumieniem i taksówkarz Szymula w krótkiej scenie pościgu, zastanawiający się nad swą tragiczną powmką w nieuprzedzonej, prawdopodobnym momencie. Ludzie w powieści pokazani zostali głównie od strony działania gestów, zdarzeń i dokonań; skąpej charakterystyce zewnętrznej towarzyszy zwykle i skąpa kilkunastowa charakterystyka wewnętrzna. Nie jest to jednak ujemną cechą książki. Na karb słabości książki trzeba jednak zapisać jej język, który wydaje mi się niewłaściwym punktem prozy Guzgo. Jest dość ubogi, mało obrazowy, składnia bardzo uproszczona, nuda monotonności. Pomijając już zwykłe błędy, których jest sporo na po-



Andrzej Koszewski

## Trzeba usłyszeć własne dzieło

Redakcja nasza zwróciła się do kilku przedstawicieli środowiska twórczego naszego miasta z prośbą o wypowiedzenie Czytelnikom „Nowego Świata” o swych osiągnięciach, planach twórczych i trudnościach, jakie stoją na drodze ich działalności. Jako pierwszą drukujemy odpowiedź na ankietę przedstawiciela kompozytorów poznańskich.

REDAKCJA

sferze tej zawdzięczam zapal, z jakim wielokrotnie wyjeżdżałem w teren na „połowy” folklorystyczne, by w żywym kontakcie z muzykowaniem wiejskim wchłaniać finezje rytmiczne i artykulacyjne tej nieraz wręcz niemożliwej do zanotowania muzyki. Z tych pasji zrodziła się myśl napisania kilku cyklów pieśni chóralnych. Każdy z nich miałby dawać jakąś syntezę stylistyczną jednego wybranego regionu polskiego. „Suius kaszubska” jest już gotowa od trzech lat. Dojrzała ona obecnie do swego pierwszego wykonania na warsztacie odtworczym Stefana Stuligroza i jego zespołu. Ufam, że rezultaty tego oczekiwanego przeze mnie wykonania pomogą mi znaleźć drogę do suity... wielkopolskiej.

Jestem przekonany, że środki wyrazu związane ze śpiewem stanowią podstawę wszelkiego odczuwania muzycznego, niemniej śmielsze eksperymenty stylistyczne (bez których nie ma postępu) udają się głównie na terenie muzyki instrumentalnej w jej bogatych formach: solowych, kameralnych i symfonicznych. Mój dorobek z tego zakresu (m. in. utwory fortepianowe i Trio na skrzypce, wolonczelę i fortepian), to owoc studiów teoretycznych i kompozycyjnych, odbytych w poznańskiej Wyższej Szkole Muzycznej w klasie prof. Stefana Poradowskiego. „Allegro symfoniczne” zamykające ten okres rozwoju technicznego i stylistycznego jest moją pierwszą próbą pełniejszego wypowiedzenia się środkami wielkiej współczesnej orkiestry symfonicznej. Wykonanie „Allegro” w bieżącym roku w ramach II Festiwalu Muzyki Polskiej najpierw w Poznaniu i Stalinogrodzie, a następnie na koncertach finałowych w Warszawie (w znakomitym wykonaniu Filharmonii poznańskiej pod dyktando Stanisława Wiślickiego) — zachęca mnie do podjęcia dalszych prac symfonicznych, z których najbliższe realizacją jest „Concertino” na orkiestrę.

Łączenie warsztatu kompozytorskiego z warsztatem muzykologicznym traktuję jako ważne dla mnie uzupełnienie, w którym obie dyscypliny tworzą: artystyczną i naukową silnie się wiążą i wzajemnie wspierają. Trudno byłoby wreszcie oprzeć się pokusie kontynuowania pracy muzykologicznej wobec tak porywającego dla mnie tematu jak twórczość Fryderyka Chopina. Na drogę zajęcia się naukową problematyką chopinowską a w szczególności walcami naszego Mistrza wprowadził mnie jeszcze w okresie studiów muzykologicznych na Uniwersytecie Poznańskim — wielki inspirator badań chopinowskich i nieodżałowany wychowawca większości współczesnie działających muzykologów polskich — profesor Adolf Chybiński. Ze wspomnianego zakresu badań przygotowuję obecnie do druku obszerniejszą publikację książkową — „Monografię walców Chopina”.

W związku z ostatnimi osiągnięciami twórczymi i wyróżnieniami, jakie spotkały w minionych tygodniach kilku członków Poznańskiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich miło mi jest jako jego sekretarzowi zasymalizować znaczne ożywienie się naszego ośrodka kompozytorskiego. Fakt, że nastąpiło to m. in. w związku ze zbliżającym się wielkim krokiem Światowym Festiwalem Młodzi — każę nam tym bardziej docenić nie tylko jego olbrzymi potencjał ideowy, ale i wielkie znaczenie artystyczne.

## Ze starych szpargałów

### Słownik wiejski

Z niemalym zdziwieniem wyczytałem w dodatku do „Gazety Poznańskiej” nr 37 z 10 maja 1909 roku następujące ogłoszenie:

„Doniesienie. Exekutorowie testamentu sp. JW Żarnowieckiego — Suffragana Poznańskiego proszą niniejszym szanownej publiczności osobliwie literatury przyjaciół, jeżeli do rąk ich pozwoły test i przy nich znajduje się dotąd szósty tomik rękopisu pod tytułem „Słownik wiejski”. Ponieważ do pierwszych pięci niedostało go, a dzieło to interesuje exekutorów, aby skompletowane i do biblioteki, do której testamentu legowane jest, oddane zostało...”

Ten tomik miał być dostarczony do proboszcza w Pępowie pod Gostyniem lub do Zakrzewa pod Rawicem. Ale nie to nas interesuje, lecz sam słownik. Jak tytuł wskazuje, musiał to być bardzo ciekawy zbiór wyrazów i słów dawnych zachowanych w naszej mowie. A może to w ogóle pierwszy polski słownik wiejski? Jakoś o jego wydaniu potem głucho. A szkoda. Czyżby „exekutorom” się nie podobał?

\*) Piotr Guzy — „Następny odchodzi 22.25”. „Iskry” — 1955 r.



## Na taśmie filmowej

### BELGIA

Jednym z najmniejszych przemysłów filmowych na świecie jest belgijski. Obecnie Belgowie zastanawiają się nad sposobem zaradzenia zru. Na razie wpadli tylko na jeden pomysł, stosowany już szeroko w Europie zachodniej — na tak zwaną „współprodukcję”. Rząd uruchomił kredyty dla zaangażowania cudzoziemskich „gwiazd” i „postawienia produkcji” na nogi w ramach Wspólnoty Europejskiej. Rokuje to jak najgorsze perspektywy ze względu na wojenno-rewizjonistyczne nastawienie „wspólnoty”. Dokumentaliści belgijscy nie biorąc udziału w tym „luchu”, ograniczają się nadal do swego specjalności. Obecnie znany dokumentalista Gerard de Boe kręci kilka barwnych filmów w Kongo Belgijskim.

### INDIE

Indie mają, jak dotychczas, 3500 kin, w tym 800 kin ruchomych. Jest to ilość o wiele za mała jak na 250 filmów hinduskich i 250 zagranicznych, sprowadzanych rocznie do Indii. Obecnie Hindusi boją się budować nowe kina, gdyż Amerykanie natychmiast wykorzystują je dla swoich filmów. Publiczność żąda opieki nad filmem narodowym, zagwarantowania mu na ekranach odpowiedniej ilości czasu wyświetlania i przyjęcia w ten sposób z pomocą rodzimej produkcji, która — chociaż liczna — boryka się ze znacznymi trudnościami finansowymi. Z wszystkich krajów świata Indie mają największy podatek widowiskowy (ok. 50%), podczas gdy najwyższa stopa podatkowa w Europie uciska kinematografię francuską (48%). W Polsce przedwrześniowej podatek kinowy był najwyższy na świecie obok Hiszpanii i wynosił 43% dochodu kin.

### JAPONIA

Fachowe pisma zachodnio-europejskie obliczają ilość produkowanych dotychczas wyprodukowanych postępowych filmów japońskich na 25. Filmy te pod względem sposobu realizacji dzielą się na dwie grupy: powstających niezależnie od wielkich wytwórni oraz powstających w ramach wielkich wytwórni pod naporem opinii publicznej. Inni krytycy dzielą filmy na neo-realistyczne, powstałe pod wpływem filmów włoskich („A jednak żyjemy...”, „Czerwone rowery” itd.) oraz na filmy narodowe — japońskie różniące się znacznie od dzieł włoskich. Do tych należą „Wrota piekieł”, „Opowieści księżycowe” itd. Na zdjęciu górnym scena z pięknego filmu „Poławiacze krabów” (Kani kosen) reżyserii S. Jamamury. Film ten już wkrótce ukaże się na naszych ekranach. Wybitni krytycy zachodni porównują niektóre sceny tego filmu do słynnego radzieckiego arcydzieła „Pan-cernik Potiomkin”.

### JUGOSŁAWIA

Reżyser Zivorad Mitrovic jako pierwszy wśród realiza-

torów jugosłowiańskich postawił sobie za zadanie realizację filmu wyłącznie w plenerze i to wśród niedostępnych gór, wąwozów i wozbranych rzek. Film w charakterze miał przypominać amerykańskie „westerny”, lecz służyć celom społecznym. W ten sposób powstało dzieło „Konwój dr. M”, które uchodzi za jeden z najlepszych spośród 45 dotychczas po wojnie zrealizowanych filmów jugosłowiańskich. 45 filmów to stosunkowo dużo jeśli zważyć, że Jugosławia wyprodukowała przed wojną łącznie 3 filmy, w tym tylko jeden dźwiękowy.

### SZWECJA

„Sztokholm to nie Chicago, a Stig Olin to nie Fritz Lang” napisał jeden z szwedzkich krytyków po obejrzeniu „gangsterskiego” filmu szwedzkiego pod tytułem przypominającym setki podobnych filmów amerykańskich: „To jest morderstwo — droga przyjaciółko”. Ten rzekomy „dramat atmosfery dla osób o silnych nerwach” wywołuje zamiast spodziewanego dreszczu — wybuchy śmiechu.

### WIELKA BRYTANIA

Nienajlepiej udało się Anglikom film pt. „Klub Pickwicka” (oryginalny tytuł „Pickwick Papers” — pomiędzy notatkami Pickwicka” mimo, że chyba właśnie w Anglii powinien być ten film powstawać. Zamiast głębokiego humoru widzimy nieraz sceny o dość płaskim dowcipie, a J. Hayter jako Pickwick, J. Donald jako Winkle, A. Gauge jako Tupman i N. Patrick jako Jingle — nie w pełni oddali typy tak bardzo znane tyłu milionom czytelników.

### ZWIĄZEK RADZIECKI

Wielkie uznanie budzi za granicą radziecka szkoła rysunkowa. Krytycy francuscy i angielscy (nawet w pismach komercyjnych) stwierdzają, że radzieccy rysownicy poczynili ogromne postępy od czasu pierwszych wojennych filmów rysunkowych, wyzbyli się naturalizmu, wspaniale animują postacie i mają znakomite kolory. Najwięcej uznania wzbudziła „Złota Antylopa” — jak wiadomo nagrodzona w Cannes.

Zestawił L. Buk.



Ze wspomnień „bywalca operowego” (2)

## Z powodu ... ślepej kieszki

W roku 1913 Opera lwowska zjawiała się w Krakowie. Między innymi wystawiano „Eugeniusza Oniegina” — Piotra Czajkowskiego. Partię księcia Gremina śpiewał zany Czech — Munclinger, który niedawno bawił na reżyjskich występach w Operze poznańskiej. Ożóż nieszczęście chciało, że biedny Munclinger obłożnie zachorował.

Ślepa kieszka.

W teatrze zamieszanie. Przedstawienia odwołać niesposób, gdyż rolę Tatiany śpiewała gościnnie sławna Korolewicz. Co robić? Wówczas ktoś z teatru przypomniał sobie, że jest w Konserwatorium jakiś Urbanowicz, który tę właśnie partię Gremina śpiewał na popisie.

### Życzliwa primadonna

Trudno, na bezrybiu i rak ryba. Zawołano mnie więc do teatru, w migawkowym tempie odbyła się próba z orkiestrą, po czym zaproponowano mi występ. Zgodziłem się. Byłem zbyt oszołomiony, aby się zastanawiać. W tym czasie zjawiała się wielka Korolewicz. Przypomniała, że występuje w sukni z długim trenem. Ponieważ książę Gremin prowadzi Tatianę pod rękę, trzeba było wypróbować. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że niedoświadczony i ponad miarę stremowany debiutant, potknąłby się o nieszezęsny tren. Nigdy nie zapomnę tej wielkiej życzliwości i ludzkiej dobroci, jaką wielka śpiewaczka okazała młodemu a deptowi. W prostym, ludzkim stosunku do każdego człowieka tkwi także tajemnica wielkości.

### Debiutancka trema

Nadszedł dzień premiery. W teatrze kazano mi być jak najwcześniej. Był to wcale zły wyjazd, bo jak wiadomo — Gremin wychodzi na scenę późno. Ale jak kazano, to trudno. Byłem pierwszy. Opiektu mnie w zbyt ciasny mundur — tak, że nie mogłem tchu złapać. Buty były paskudnie ciasne. Na domiar w gardle wyszło mi zu pełnie. Najchętniej ucieknęłbym z teatru na koniec świata.

Tymczasem kurtyna podniosła się. Zaczęły się męki. Pętałem się za kulisami, marząc o „zdejęciu butów”. Nie potrafiłem opowiedzieć, w jaki sposób znalazłem się na scenie pod rękę ze sławną śpiewaczką; nie wiem, jak zacząłem śpiewać. W każdym razie dałem się jak nieszczęście. Oprzytomniałem dopiero po brawach.

Pierwsza brawa w teatrze: Niezatarcie jest ich wspomnienie.

Zaproponowano mi kontrakt do Opery we Lwowie. łącznie ze sporą zaliczką. Przyjąłem ją z żywym zadowoleniem, a mój studencki żołądek równie podzielił ten entuzjazm. Kontrakt podpisałem, lecz zaczęły się trudności. Matka stanowczo zażądała, abym kończył prawo. Wziąłem się więc do pracy, tym więcej, że zaliczka przy bratniej pomocy koleżków rozeszła się dość szybko. Teatr lwowski uwiadomiłem, że niestety, z kontraktu nie skorzystam i że gotów jestem pokryć me wszystkie zobowiązania.

### Pożegnanie z prawem

Przychodzę jednak kiedyś na uniwersytet, a portier z uśmiechniętą miną mówi do mnie:

„Do pana przyszedł jakieś telegraficzny pieniążek”.

Rzeczywiście, „pieniążki” były i to niemałe: 200 koron — suma na owe czasy olbrzymia — a dla mnie nieosiągalna. Był i telegram tej treści: „Kontrakt od 3 września”.

Znaczyło to, że otrzymam gażę nawet za miesiąc wakacyjny, którym wtedy był wrzesień. Tak, tak — dobrym dyrektorem był znakomity Heller we Lwowie.

Studia prawne poszły w ką. Z początkiem października 1913 roku znalazłem się na deskach lwowskiej Opery. Odtąd ile razy spotykam się z przemitym Czechem — Munclingerem — mówię do niego:

„Przez twoją ślepa kieszka do stałem śpiewakiem”.

— Żalujesz?”

— Przecież!

— Ja mojej ślepej kieszki też nie. Więc wszystko w porządku...

### Same nazwiska — delikatesy

Piękny gmach teatru we Lwowie mieścił i dramat i operę. A nazwiska? Proszę bardzo. Same delikatesy. W dramacie: Żelazowski, Adwentowicz, Siemaszkowa; w operze: Adam Didur, Ada Sari, Korolewicz-Waydowa, (zmiała przed kilkunastu dniami — przyp. red.), Tarnawski, Hellerowa, Tadeusz Łowczyński, Oksowski, Ignacy Man.

W słynnym polonezie w „Halce” brał udział cały zespół dramatyczny z Żelazowskim i Gostyńską na czele. To był prawdziwy polonez! Dziś już takiego nie łatwo zobaczyć.

Rozśpiewałem się na dobre i na amen. Odkryłem swoje powołanie. A to nie jest wcale takie proste! Tam to po raz pierwszy śpiewałem Zbigniewa w „Strasznym Dworze”, Pi mena w „Borysie Godunowie”, kardynała w „Żydówce”.

Od tego czasu minęło wiele lat. Dziś, nie chwając się, mam z polskich basów największą chybą repertuaru, obejmujący przeszło 80 partii, przy czym w niektórych operach, jak np. w „Arykance”, śpiewałem wszystkie cztery partie basowe. Dziś mam też o wiele większe doświadczenie sceniczne niż wtedy, a jednak te właśnie lata młodości, lata pierwszych wstępow i pierwszych artystycznych zmagani, są niezapomniane.

### Kłopoty żony Mana

Ignacy Man, o którym już wspominałem, był wspaniałym śpiewakiem, tenorem najlepszej jakości. Ale był też trochę człowiekiem śmiesznym — więc też życie i koledzy nie szczędzili mu niespodzianek.

Man np. śpiewa w „Hugonach” — Raula. W arii jego są słowa: „W powodzi krwi tonie miecz”. Man wyśpiewał wszystko prawidłowo, ale w czasie przerwy zastanawiał się głośno: „Jeśli to nie miecz, to co to jest: nóż czy szabla?” Takie miał zmartwienia.

Pewnego razu śpiewał „Otella”. Była właśnie premiera. Nasz sławny perukarz — Rzeszutko, którego peruki w paryskich teatrach cieszyły się wielkim wzięciem (teatr lwowski był na gościnnych występach i w Paryżu, i w Mediolanie — tak, tak!), zrobił Mana na dziarskiego Maura tak dokładnie, że wysmarował mu na czarno nawet piersi, brzuch i plecy. Man jakoś nie protestował. Widocznie myślał o czymś innym. Potem zawrzał jednak srogim gniewem:

„Czemuś ty mnie całego wysmarował? Przecież wystarczyło tylko twarz!”

„Tylko twarz? Jeśli bym wysmarował tylko twarz, to nigdy nie będziesz Maurem” — odpowiada spokojnie Rzeszutko...

Nazajutrz jednak perukarz stracił spokój. Do teatru wdarła się bowiem żona Mana, niewiasta energiczna i poczęła wykrzykiwać:

„Ja tego Rzeszutkę zabiję! Własnego męża nie mogę się doszorować!”

Innym razem, znowu w „O-

tellu” — Desdemonę śpiewała Hellerowa. Mimo, że była żoną dyrektora — partię swą śpiewała znakomicie; była wśród „primadonn — deputowanych” szlachetnym wyjątkiem. W scenie pocałunku, Man — śpiewający Otella — spostrzegł, że jego pocałunek zostawił widoczny ślad czarnej szminki na policzku uroczej Desdemony. Nie tracąc zimnej krwi, podszedł w odpowiednim momencie do niej i wyraźnym szepceniem, który słyszała niemal wszyscy — rzekł: „Najmocniej przepraszam, ale ja panią dyrektora trochę powalałem”.

Spisał S. KROKOWSKI



Karol Urbanowicz jako Falstaff

### Na tropie Heine-Medina

## Szczepionki i zyski

Paraliż dziecięcy, znany u nas jako Heine-Medina, jest od wielu pokoleń bardzo rozpowszechnioną chorobą w Stanach Zjednoczonych. Każdego lata w okresie upałów choroba ta zaraża się mnóstwo dzieci różnego wieku, a zwłaszcza niemowląt. W samym tylko 1954 roku zanotowano w USA 57 879 wypadków zachorowań na Heine-Medina. Sporo ofiar strasznej plagi umiera po kilku dniach, inne zaś pozostają na zawsze kalekami.

### Jonas Salk

#### wynalazł lekarstwo ...

Miesiące letnie są zatem za wsze istną zimą dla milionów matek za Oceanem. W tym roku zbliżający się sezon skwarów nie napawał już jednak wielu z tych kobiet takim wielkim strachem. Bo oto przed kilku miesiącami amerykański lekarz, Jonas Salk, wypracował szczepionkę przeciw groźbie paraliżu dziecięcego.

W Ameryce ludzie rzucili się na nowe lekarstwo. Co prawda, nie każdego stać było na ten luksus. Dla zabezpieczenia dziecka przed wpływem chorobotwórczych zarazków trzeba trzech zastrzyków, z których każdy kosztuje po 6 dolarów, nie mówiąc już o wynagrodzeniu dla wykonującej za bieg pielęgniarce. Ale czego człowiek nie zrobi dla swego dziecka? W wielu rodzinach ludzi pracy robiono więc duży wysiłek, starano się oszczędzać na czymś innym, byleż do było to tak cenne szczepionki.

Niestety, błogi spokój tysięcy matek okazał się krótkotrwały. Z różnych krańców kraju zaczęły napływać niepokojące wieści. Tu i ówdzie „zabawna” szczepionka, zastrzyknięta zupełnie zdrowym dzieciom, zarażała je chorobą, przed którą miała je ratować. Wkrótce gazety donosiły o pierwszych wypadkach śmierci. Do początku czerwca, czyli na długo jeszcze przed lipcową spiekotą, nieszczęśliwych wypadków było już — według doniesień władz — 125. Powołanie zakłada się wszakże, że rzeczywista liczba ofiar jest chyba wielokrotnie większa.

### Nie tylko lekkomyślność

Wybuchł skandal, który zmusił organa państwowe USA do przeprowadzenia dochodzenia. Okazało się, że amerykańskie serum pod niejednym względem ustępuje podobnym szcapiom, opracowanym w Australii, Szwecji i w innych krajach, gdzie uznano je za jeszcze niezdatne do masowego użytku. Rzecz znamienna, szczepionka Salka została w znacznym stopniu „ulepszona” od czasu, gdy zaczęto ją pro-

dukować masowo. Społeczeństwo dowiedziało się również, że, wedle zdania czołowych naukowców, uprzednie próby w laboratoriach USA nie były jeszcze o tyle zadowalające, by usprawiedliwić masowe szczepienie. Wyszło też na jaw, że w laboratoriach towarzystwa Cutter, jednej z 6 prywatnych firm, którym władze udzieliły licencji na wyrób szczepionek, nie osłabiano do statecznie bakcyli, które miały następnie zaszczać dzieciom.

Matki fatalnych ofiar zbrodniczej lekkomyślności stawiają teraz wiele pytań. Po co przystąpiono do masowej produkcji i rzucono na rynek środek lekarski, zanim został udoskonalony do takiego stopnia, by był przynajmniej nieszkodliwy? Dlaczego władze od samego początku nie kontrolowały produkcji tak ważnych szczepionek? Dlaczego dopuszczono do tego, by prywatne firmy mogły zagrażać zdrowiu i życiu tylu dzieci?

### Świetny przykład

#### „prywatnej inicjatywy”

Na te wszystkie pytania istnieją tylko jedna odpowiedź. Wina za cierpienia tylu matek i dzieci ponoszą panujące za Atlantyką „porządki”. Stany Zjednoczone są klasycznym krajem „prywatnej inicjatywy”. Państwo zapewnia tam kapitalistom nieograniczoną swobodę „działania”, wyciągania z kieszeni obywatela pieniędzy w najróżnorodniejszy sposób. Państwowej bezpłatnej służby zdrowia nie ma w kraju dolara. Poradnie lekarskie, szpitale, sanatoria i apteki należy przeznaczyć do prywatnych przedsiębiorców, którzy przede wszystkim troszczą się o największy zysk.

W przededniu pierwszej wojny światowej doszło w Ameryce do licznych skandali, z których ludność dowiedziała się, że wiele zalecanych przez prywatnych lekarzy i sprzedawanych w gotowym stanie leków — to bezwartościowe, a nierzadko wręcz szkodliwe dla zdrowia preparaty. Przed około dziesięciu laty, gdy na rynku ukazała się penicylina, nie mało leczonych nią pacjentów zginęło. Śledztwo dowiodło później, że pozbawieni skrupułów businessmeni, kierując się zasadą, że grunt to dywidendy, sprzedawali zesterzającą i zepsuta penicylinę.

Dyrektorzy koncernów, specjalizujących się w wytwarzaniu szczepionek, od dawna marzyli o środku przeciw paraliżowi dziecięcemu, po którym spodziewali się niebywałych zysków. Pałającą żądzą łatwych i szybkich zysków, panowie ci nie czekali, aż skuteczność i nieszkodliwość nowej szczepionki dla zdrowia stanie się powszechnie uznanym pewnikiem, lecz wzięli się przedwcześnie do produkowania jej na szeroką skalę. Czołowi akcjonariusze 6 wytwórni szczepionek zacierały ręce z radości na myśl o 20 milionach dolarów czystego rocznego zysku, którego spodziewali się z produkcji serum Salka.

Tak więc, milionowe zyski wielkich magnatów są w Stanach Zjednoczonych ważniejsze niż życie małych dzieci. Takie to już są porządki w głośno wychwalanej „krajnie wolności”...

PAWEŁ LESZAK

Kienko  
NA ZACHÓD

Nierówną walkę stoczył olbrzymi wąż w chacie pewnego farmera brazylijskiego, ośmiadłego na skraju dzungli. Bestia wtargnęła do izby i ujrawszy zegar z kukułką, rzuciła się na martwy przedmiot i połknęła go. Ptasek okazał się jednak zbyt ciężko strawnym. Farmer przebudził się i unieszkodliwił łakomą potwora.

Lekka muzyka  
i ciężkie granie

Rozmowa podsłuchana w  
tramwaju:

Starszy pan: — Jak to  
przyjemnie pójść do tych  
naszych poznańskich lokali,  
posłuchać naszych poznań-  
skich orkiestr.

Ona (chyba jego wnucz-  
ka): — Co się działo tak  
podobą?

On: — Młodość mi się  
przypomina. Tak samo gra-  
li, gdy miałem dwadzieścia  
lat...

Ona (oburzona): — Ale  
mamy przecież dużą orkie-  
strę K. Renza!

On: — Tak, to dobra or-  
kiestra. Gra głośno...



Czy dziewczyna,  
która skacze,  
nie jest dziewczyną?

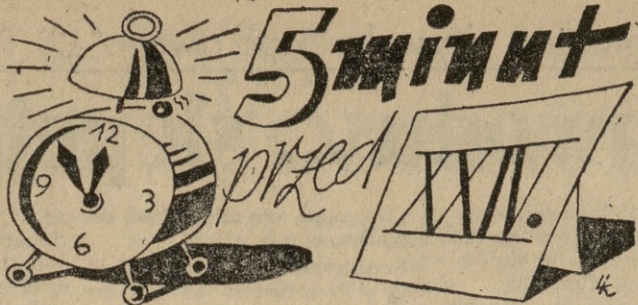
Czy wiecie kto napisał  
„Meira Ezofowicza“ i „Mar-  
tę“? Eliza Orzeszkowa? Nie.  
Wcale. Powieści te napisała  
Eliza Orzeszek, potwierdzą  
to sportowcy i dziennikarze  
sportowi.

Oni to z gorliwością god-  
ną lepszej sprawy odbiera-  
ją kobietom pleć. Dla nich  
na przykład Kusionówna bę-  
dzie zawsze jakimś nieokreś-  
lonym bliżej Kusionem. A  
przecież dziewczyna, która  
skacze, nie przestaje być  
dziewczyną. O czym z rado-  
ścią informujemy kolegów  
sprawozdawców z prasy  
sportowej, radia i... „Głosu  
Wielkopolskiego“.



— Halo, czy to pralnia nr 31?

MIK



Zakończenie rotundy daw-  
niejszej wieży Górnosła-  
skiej na terenie MTP jest nie  
tylko iglica, ale i — szpilka  
klująca „Miastoprojekt Stoli-  
ca - Północ“ i Politechnikę  
Warszawską — za nietermino-  
we dostarczenie dokumenta-  
cji.

Do robót targowych kiero-  
wano wybitnych fachow-  
ców biorąc pod uwagę nie ty-  
lko umiejętności ale również...  
nazwiska. Jak się bowiem oka-  
zuje, np. pracami przy mon-

towanej w rekordowym tem-  
pie hali nr 9 kierował inż. Se-  
kunda, a sztuczną kopalnię  
pokazującą wyrab węgla, bu-  
dował brygadziści Wyłęw-  
ski.

Plac, na którym pokazemy  
najnowsze ciągniki i trak-  
tory na gąsienicach mogłoby  
się nazywać: „Hala Gąsienico-  
wa“.

Wśród licznych eksponatów  
zagranicznych znajdują  
się i artykuły przeznaczone dla

ofiar chuligańskich wybryków  
w ciemniejszych ulicach mia-  
sta. Jedną z firm kapitali-  
stycznych wystawia sztuczne  
zęby.

Dla osób oczekujących ran-  
nego otwarcia bram tar-  
gowych, przeznaczono jako  
miejsce rekreacyjne plac przy  
ul. Świeckiego. Bezpośrednie  
sąsiedztwo z budynkiem pro-  
sektorium nie powinno — mo-  
im zdaniem — pociągać za so-  
bą z włóki w punktualnym  
otwieraniu bram.

Ogółem na terenie Targów  
ustawionych zostanie 300  
ławek. Czy w związku z tym,  
nie było by rzeczą celową prze-  
nieść na teren MTP — „Czwar-  
tków literackich“?

Obsługę prasowo - fotogra-  
ficzną przejmie ekipa  
CAF-u. Ma ona już pewną  
praktykę, jeśli chodzi o świad-  
czenie usług na rzecz Pozna-  
nia: Z okazji niedawnego ju-  
bileuszu 1000-lecia miasta pu-  
szczono na cały kraj zdjęcie  
ponurej prusko - wilhelmow-  
skiej budowli z ub. wieku ja-  
ko „najstarszego polskiego za-  
bytku architektonicznego Po-  
znania“.

W okresie Targów imprezy  
kulturalne stać będą na  
bardzo wysokim poziomie —  
mimo, iż zapowiedziano liczne  
występy artystyczne w loka-  
lach gastronomicznych.

## Anegdoty

Dwuznaczne  
dowody

Przed królem Sparty, Agesi-  
laudem (398—361 przed Chr.)  
stanęło pewnego dnia kilku wo-  
jowników mocno poznańskich  
bliznami, chwalcę się, że rany  
ich są dowodem, iż nigdy nie  
uciekali przed nieprzyjacielem.

Król rzekł:

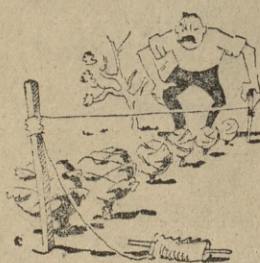
— Wolabym wszelako mieć  
na mojej służbie tych, którzy  
was tak pokiereszowali.

Jan Sztaudynger

## Pisane w Poznaniu

### Życie

Życie podobne do kwitnących  
grządek,  
Pierwszy warunek: musi być  
porządek!



### Pochwała poznaniemek

Poznanianki ładne,  
Jak majowy ranek:  
Co spojrzę, to wpadnę  
(w którąś z Poznaniemek).



### Żal za minionym

Ach, gdzie się podział napis

słodki:

„Tu się usztywnia męskie przodki“.



### Poznaniak

On najładniejszej nóżki wy-  
rzec się gotowy  
dla nogi wieprzowej.



## Lecą papierki leca, leca...

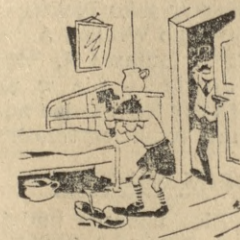
Najgorzej, gdy sprawa weź-  
mie tzw. „bieg na drodze  
korespondencyjnej“. Przeko-  
nał się o tym ob. H. K.  
z Poznania, legalny po-  
siadacz radia, tudzież ksią-  
żeczki radiofonicznej nr F  
041432, w której jako po-  
kwitowanie uiszczenia bie-  
żących opłat radiofonicznych  
widnieje pieczęć z dnia  
14 V 1955 r.

Najpierw w końcu maja  
przyszło z Oddziału Radiofo-

nicznego Poznań 2 pismo o  
uiszczenie należności za ma-  
rzec i kwiecień 1955. Ob.  
H. K. pokłonił głową i po-  
szedł wyjaśnić, że już raz  
płacił a drugi raz nie ma o-  
choty. W odpowiedzi, 2  
czerwca br. nadeszło drugie  
pismo. Jego autor domagał  
się tym razem należności za...  
marzec 1954! Ob. H. K., czło-  
wiek o dużym spokoju ducha,  
powiadomil jeszcze raz na-  
dawcę, że ochoły do powtór-  
nego placenia jeszcze nie od-  
zyskał i wyraził wątpliwości,  
czy kiedykolwiek to nastąpi.  
Oddział Radiofoniczny Po-  
znań 2, pragnąc przełamać  
niestosowny upór ob. H. K.,  
znów nadesłał żądanie zapła-  
ty, tym razem z groźbą ode-  
brania księżeczki. Do wyma-  
ganej kwoty doszło 15 — zł  
dopłaty karnej i specjalny zie-  
lony druczek.

Ten zielony druczek jest  
wykonany na sztywnym kar-  
tonie co niezmiernie zasmu-  
ciło ob. H. K. Odłożył tedy  
druczek do szafki i czeka na  
dalszy rozwój wypadków.  
Ponieważ pretensje Oddziału  
Radiofonicznego rosły szyb-  
ko, ob. H. K. postanowił za-  
chować spokój do chwili, kie-  
dy O. R. zażąda opłaty za wy-  
słuchiwanie koncertu na fu-  
jarach i gęślach, transmitowa-  
nego, jak wiadomo, w noc  
świętojańska na wawelskim  
dziedzińcu za panowania Ka-  
zimierza Jagiellończyka...

(bi)



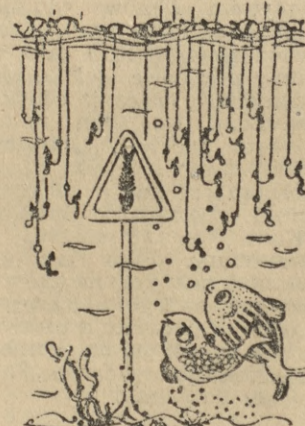
szłem na skargie do ich mamu-  
si. Zawołała wszystkich trzech  
i kazała pokazać, kóten to.  
Patrze, patrze, ale nie mogię  
się polapać — nawet pięgi w  
tych samych miejscach mieli.

— Pani szanowna powinna  
ich ponumerować i numerka  
naszyć na sweterki, jak fut-  
balistom, bo inaczej będzie z  
nimi dużo zmartwienia — po-  
wiedzialem koniec końców i  
kiwnąłem na wszystko ręką.

Ale najgorzej było podczas  
deszczu, wtenczas cały „Robot-  
nik“ aż trzeszczał od przysz-  
łości narodu. Dorosłe wczasowi-  
cze zielone z zimna i bezsenno-  
ści siedzieli na podwórku pod  
parasolami. Po dziesięciu  
dniach bezdzietni się rozjechali.  
Ja również udałem się do Po-  
znania dla poratowania zdro-  
wia.

Gdzie by tu pojechać, żeby  
dzieciom w wypoczynku nie  
przeszkadzać?

WIECH



Bez podpisu

## WIECH taaaakie własny

ZIMNO nie zimno, ale wio-  
sna się kończy i najwyż-  
szy czas postarać się o  
wczasy. Tylko nie wiem, gdzie  
się w tem roku wybrać, żeby  
dzieciom nie przeszkadzać, bo  
w zesłem muszę się przyznać  
— że owszem.

A zaczęło się już w pociągu  
do Międzyzdrojów. Miałem  
miejsce przy oknie — myślę so-  
bie — będzie można się zdrzym-  
nąć. Trochę dalej siedziała  
jakaś mamusia z chłopczykiem.  
Jakiś ruszyli, ta mamusia  
zaznacza dwuznacznie:

— Nic nie widzisz, Zygmu-  
siu, prawda? Stare byki przy  
oknach się porozwalali, a dzie-  
cko nie może wyglądać. Tak to  
się u nasz dba o przyszłość na-  
rodu.

No to ja się podniosłem i mó-  
wie do tego Zygmunia:

— Przesiądź się ze mną,  
chłopczyku.

Zygmus się przesiał, ale  
wszyscy pasażerowie tak się  
poprawili na ławce, że moje  
miejsce gdzieś wsiadło i zmu-  
szony byłem stać przy oknie.  
Zygmus wyglądał i nie mnie  
na razie nie mówił, ale koniec  
końców zaczął mnie kopać w  
piszczel i skarżyć się mamusi,  
że mu krowy zasłaniają.

Z początku nie brałem tego  
pod uwagę, ale jak mnie przy-  
trzeciej krowie kopnął w jabł-  
ko, przeniosłem się na korytarz  
i jechałem na walizce. Było to  
trochę męczące, walizka dwa  
razy się roztwierała i rzeczy  
rozsypany były po podłodze.  
Na dobitkę kotlet, co mnie go  
Gienia na drogie dała, wtroił  
jakiś pies, kóten pod ławką  
siedział. Ale zajechało się ja-  
koś do tych Międzyzdrojów.

Zygmunia z mamusią straci-  
łem z oczów, dopiero we wczas-  
sowem domu pod tytułem „Ro-  
botnik“ żeśmy się spotkali przy  
wyznaczaniu pokoi.

A detalicznie to było tak.  
Kierownik nie chciał przyjąć  
Zygmunia, bo był nie zapisany  
w ogóle zaznaczał, że wczasy  
są wypoczynkowe dla doro-  
słych, a dzieci mogą ten wypo-  
czynek utrudniać.

Ale mamusia, jak się poka-  
zała niejaka pani Kropiwko,

powiadła na niego, że jest ide-  
ologicznie niedotarty, że dzieci  
przyszłości narodu stanowią i  
przede wszystkim muszą na  
wczasach sił nabierać. A zre-  
szta dziecko jest grzeczne, spo-  
kójne i ciche.

Wtenczas ja się wtrąciłem i  
mówię, że faktycznie przyszłość  
narodu przede wszystkim i  
chłopczyk, chociaż troszkę ko-  
pie, nikomu nie będzie prze-  
szkadam. Po drugie jak przy-  
jechał musi się zostać, bo po-  
częta odesłać go nie można —  
nie przyjmą. Tylko się obawia-



lem, czy się czasem nie będzie  
nudził między starszemi.

Ale się nie nudził, bo co dru-  
ga mamusia przywiezła ze so-  
bą tak zwaną pociechę. Każde  
jedno dziecko oddzielnie było  
bardzo grzeczne i ciche, ale ra-  
zem, troszkę się darli. Zwłasz-  
cza poniekąd przy zabawie w  
Indian. Zaraz na drugi dzień  
Indiani postrelili kierownika  
z łuku, tak że nie mógł sie-  
dzieć. Właściwie, to nawet na

dobrze wyszło, bo nie przesia-  
dował w biurze, tylko stał pod  
ścianą w jadalni i mógł jak się  
należy obsługiwać wczasowiczów  
doglądać.

Tylko najgorsze to, że jak  
wiadomo Indiani wstają wczes-  
nie i w taki sposób już o 5 ra-  
no, wszyscyśmy się zrywali na  
równe nogi, bo najważniejsze  
bitwy toczyli się na koryta-  
rach. Ale to wszystko była  
jeszcze kaszka z mlecikiem.  
Nieszczęście zaczęło się dopiero  
jak przyjechali trojaczki z Cze-  
stochowy. Trzech chłopczyków  
jak trzy krople wody i jedna-  
kowo ubranych. Te nam do-  
piero dali kataru. Wszędzie ich  
było pełno. Ponieważ, że pa-  
sajmy lubieli komput, wpadali  
przed obiadem do jadalni i wy-  
pijali go ze wszystkich spod-  
ków. Jak był mało słodki to  
tylko napoczynali. Tak że ni-  
gdy się nie wiedziało, czy  
komput cały, czy zaczęty. Ja-  
gód z cukrem znowu nie cier-  
pieli i ze złości rozsypywali ich  
po krzeselkach. To jak byli na  
deser jagody wszyscyśmy mieli  
tzw. odwrotne strony medalu z  
czarne kropki i kryształ się z  
nas sypał.

I nigdy się nie wiedziało kó-  
ren z trojaczek winien. Wcho-  
dził raz do swego pokoju i pa-  
trze, że trojaczek siedzi koło  
łóżka i trzycalowym gwóździem  
przybija mnie mój święteczny  
kamasz do podłogi. Jak mnie  
zobaczył chodu przez okno. Po-